Annales Collegii Nobilium Opolienses
5 (2016)

Cezary Obracht-Prondzyński
Uniwersytet Gdański

Polska w Europie. A Europa – gdzie? I jaka?

Polskie myślenie o Europie zawsze było naznaczone paradoksami[1]. Z jednej strony od początku procesu transformacji odbywała się ona pod hasłem „powrotu do Europy" (utożsamianym najczęściej z powrotem do normalności po okresie „nie-normalnego PRL-u"). Tak dalece chcieliśmy „powrócić", aż sami zaczęliśmy siebie krytykować za imitacyjność i bezrefleksyjne naśladownictwo.

Jednocześnie jednak powtarzaliśmy sobie nieustannie, że my przecież Europy (a dokładniej – Zachodu) nigdy nie opuściliśmy! Cała nasza historia łączyła nas z dziejami Europy Zachodniej (od chrztu w 966 r. zaczynając) i tym samym odróżniała nas od „Wschodu"[2]. Dzięki temu częstokroć czuliśmy się lepiej niż ci, których aspiracje europejskie z racji „wchodniości" bywały poddawane w wątpliwość.

No, ale i my w tym Wschodzie byliśmy mocno zakorzenieni, stąd też nie bardzo dawało się od niego odciąć, choćby z tej racji, że nasza kultura duchowa i materialna znakami wschodnich wpływów była naznaczona (wystarczy sobie przypomnieć sarmackie portrety). A gdy papież Jan Paweł II mocno podniósł sprawę „dwóch płuc Europy", dowartościowując także tradycję Wschodu i jednocześnie dziedzictwo słowiańskie to już w ogóle nie wypadało się od tego odcinać.

---

[1] Zob. A. Horolets, *Obrazy Europy w polskim dyskursie publicznym,* Kraków 2006; A.F. Kola, *Europa w dyskursie polskim, czeskim i chorwackim. Rekonfiguracje krytyczne,* Toruń 2011; G. Żuk, *Twierdza czy wspólnota? Europa w polskim dyskursie publicznym,* Lublin 2010.

[2] Pisał o tym wielokrotnie Janusz Tazbir, np. z zbiorze szkiców *W pogoni za Europą,* Warszawa 1998.

Nieustannie więc tkwiliśmy (i tkwimy nadal) w silnej ambiwalencji, z której wyjściem miało być w jakiejś mierze myślenie o Europie Środkowej. Wcale jednak ono tej ambiwalencji nie usuwało, ale raczej tworzyło nową[3]. Dobrze wychwycił to w jednym z wywiadów nieżyjący już prof. Janusz Tazbir, mówiąc: „Leżymy w Środkowo-Wschodniej Europie, przy czym słowo »środkowa« jest niczym innym jak »dezodorantem«. Nikt nie powie, że Francja leży w Środkowo-Zachodniej Europie, tymczasem my, jeśli już mamy leżeć w Europie Wschodniej, to chcemy trochę się od niej wyróżniać. Na pewno stanowimy »gorszą« część Europy i w ten sposób byliśmy postrzegani już od czasów Rabelaisa i Montaigne'a. Kiedyś potrafiliśmy się tym nie przejmować, niestety dziś, gdy komunikacja między narodami stała się błyskawiczna jesteśmy bardziej obolali i momentalnie wyłapujemy takie opinie"[4].

To poczucie „gorszości" nas stale uwierało (i uwiera). Reagujemy nań na dwa sposoby. Pierwszy można nazwać mianem „aspiracyjnego", czyli staramy się nie tylko dogonić i upodobnić się, ale wręcz stać się bardziej modelowymi Europejczykami niż „ci z Zachodu". I tylko od czasu do czasu zdumieni zatrzymujemy się, gdy się okazuje, że… żadnego modelu nie ma, a to co robimy jest realizacją tylko naszych wyobrażeń, nie zaś dostosowaniem do realiów życia mitycznego „Zachodu".

W takim razie pojawia się drugi sposób, który można określić mianem „innościowego", a zawiera się on w formule: jesteśmy odmienni, inni, specyficzni i wcale nie musimy na siłę stawać się europejscy. Zwykle dodaje się do tego bardzo krytyczne oceny Zachodu (jego upadku, degeneracji, pustki duchowej, a ostatnio także słabnięcia cywilizacyjnego i ekonomicznego potencjału).

Nie trzeba dodawać, że te dwie formuły w polskich realiach przybierają nie tyko charakter deklaracji ideowych, ale też ruchów politycznych. I nie idzie tu wcale wyłącznie o obecną sytuację w Polsce, bo rzecz ma o wiele dłuższą tradycję.

Balansujemy więc w myśleniu o Europie między afirmacją, podglądaniem i naśladownictwem, a krytyką, odcięciem i odrębnością. Z jednej strony Europa nadal pozostaje przedmiotem aspiracji i marzeń o „normalności. Z drugiej jest stałym źródłem naszych kompleksów. Myśleniu o Europie towarzyszy pragnienie uznania i lęk przed odtrąceniem.

---

[3] Ostatnio pisała o tym W. Parfianowicz-Vertun, *Europa Środkowa w tekstach i działaniach. Polskie i czeskie dyskusje,* Warszawa 2016.

[4] http://www.pomorska.pl/publicystyka/art/6423646,prof-janusz-tazbir-w-toruniu--na-pewno-stanowimy-gorsza-czesc-europy,id,t.html.

Równocześnie, gdy się przyglądamy np. dyskursowi nacjonalistycznemu, także widzimy w nim silne napięcia i sprzeczności. Ruchy nacjonalistyczne mają zresztą dziwny stosunek do Europy i nie dotyczy to tylko sytuacji w Polsce. Bo z jednej strony, wedle reguł przyjętych w tych środowiskach, Polska się od Europy odcina (bo Zachód, jako się rzekło, to zdegenerowanie, upadek i słabość…). Usłyszymy więc bardzo często, że Polacy to Polacy, a nie jacyś Europejczycy i z Europą, taką jaką ona obecnie jest, nie chcą mieć nic wspólnego. Co najwyżej pojawia się chęć „naprawiania Europy", czyli tak silne zakorzenione w polskiej myśli postrzeganie nas jako misjonarzy „lepszych" wartości; kogoś, kto ochroni i przywróci Europie jej utracone korzenie i tożsamość. Towarzyszy temu zresztą poczucie wyższości, że oto my nie zatraciliśmy się w tej europejskiej degrengoladzie.

Ale, paradoksalnie, często ci sami ludzie „bronią Europy" przed zalewem obcych… Może zresztą to paradoks pozorny, z perspektywy tych ruchów, bowiem wierzą one, że bronią Europę nie tylko przed obcymi, ale i przed… nią samą.

W gruncie rzeczy te napięcia, ambiwalencje i niekonsekwencje wcale nas dziwić nie powinny. Zawsze wszak towarzyszyły one naszemu myśleniu o Europie i o naszym w niej miejscu. Dziś mamy do czynienia (jedynie?) z kolejnymi odsłonami tych samych dylematów, które nurtowały naszych przodków. A ich źródłem była stała niepewność naszej pozycji w realiach życia europejskiego, czemu towarzyszyło niezdecydowanie. Warto w tym miejscu przywołać badania CBOS z samego początku okresu transformacji. W lutym 1991 r. zapytano Polaków, co sądzą o Europie i naszej w niej przyszłości. Wymownym jest to, co napisano w raporcie, prezentującym wyniki badania: „Znaczna przewaga zwolenników idei konsolidacji naszego kontynentu nad jej przeciwnikami (52 punkty procentowe) nie wyklucza sceptycznej oceny możliwości (a przynajmniej łatwości) szybkiego wprowadzenia jej w życie. Zaledwie 7 proc. ankietowanych wyraża przekonanie, że zjednoczenie całej Europy w ciągu najbliższych 10–15 lat jest sprawą prawie pewną, zaś 35 proc. uważa to za całkiem możliwe. Największa część respondentów (42%) dostrzega małe prawdopodobieństwo realizacji koncepcji zjednoczeniowych"[5].

Jak słabo wówczas wierzyliśmy, że uda się doprowadzić do zjednoczenia Europy!? I jak mocno tego pragnęliśmy (o czym dzisiaj zdaje się często zapominamy). Tymczasem kilkanaście lat później, wraz z innymi państwami naszej części Europy, byliśmy już pełnoprawnymi członkami Unii Europejskiej.

---

[5] *Opinia publiczna o idei zjednoczenia Europy,* CBOS, Warszawa, luty 1991, s. 2.

Kiedy się jednak w niej w końcu znaleźliśmy, okazało się, że daleka jest ona od naszych wyobrażeń i marzeń. Choć z drugiej strony nie naraziła nas ona na wszystkie niebezpieczeństwa, o których tak mocno mówiono w czasie przedakcesyjnym. Generalnie zresztą należy podkreślić, przyglądając się polskiemu dyskursowi o Europie i o UE, że zbyt dużo w nim histeryczności, motywowanej ideologicznie. Tymczasem rzeczywiście stają przed nami istotne pytania dotyczące europejskich realiów, przyszłości i tożsamości. Powinniśmy je sobie najpierw uświadamiać, a następnie zastanawiać się czy i w jakim stopniu Polska może i powinna brać udział w ich rozwiązywaniu.

Warto nad kilkoma takimi europejskimi pytaniami się zatrzymać. Być może kluczowymi dla nas pytaniami jest to, gdzie są granice Europy? Albo inaczej – gdzie jest ta Europa? A w związku z tym, kto jest Europejczykiem? Dotykamy tu pytań o obrzeża i peryferia oraz o centra i wiodące ośrodki. Przez lata powtarzaliśmy, że naszą ambicją jest „być w centrum Europy", a więc uczestniczyć w kluczowych dla jej przyszłości procesach decyzyjnych. Czy ten projekt się powiódł? Można zasadniczo wątpić. Co więcej – zdajemy się na trwałe lokować na obrzeżach Europy (politycznie, ale też ekonomicznie i całkiem dosłownie – geograficznie). Niezależnie od krytycznych głosów na temat kondycji Europy czy też samej EU, taka sytuacja jest dla nas nie tylko niekomfortowa, ale wręcz niebezpieczna. Co więcej, zadaniem Polski było sukcesywnie przesuwać peryferia (i granice) Europy jak najdalej od nas. A więc dbać o to, aby kraje „obok nas" stale myślały o Europie aspiracyjnie i aby Europa te aspiracje podtrzymywała (dotyczy to głównie, choć nie tylko Ukrainy). Dziś trudno nam być rzecznikami tej aspiracyjności, gdyśmy sami w dużej mierze stracili serce do Europy, a i ona za bardzo „obwarzankami" się nie interesuje, o ile nie stanowią one dla niej bezpośredniego zagrożenia.

Problem granic nie dotyczy jednak tylko „zewnętrza". Jest on istotny także „w środku". Myślę tu zarówno o „trzeszczeniu w szwach" strefy Schengen, jak i o dylematach związanych z pogłębiającym się procesem regionalizacji. Dla przyszłości Europy zdają się być kluczowymi aktorami wielkie miasta (metropolie), jak i regiony.

Pozycja miast nie jest zresztą jakoś specjalnie charakterystyczna wyłącznie dla Europy. To trend globalny, ale w naszych realiach idzie o to czy w tym globalnym wyścigu i konkurencji o talenty, innowacje, kapitały, kreatywność i inne rzeczy, przesądzające o przyszłości, miasta europejskie będą się liczyć? Czy staną się ciekawymi „miastami-muzeami", które ogląda się niczym muchę zatopioną w bursztynie? Zresztą, jeśli spojrzymy na niedawny kryzys uchodźczy to stwierdzimy, że owszem – spory polityczne prowadziły między sobą

poszczególne państwa i sama UE, ale na co dzień radzić sobie z problemami napływu wielkiej fali ludzkiej musiały przede wszystkim miasta, zwłaszcza te największe.

Dla efektywnego rozwoju miast znoszenie granic jest sprawą kluczową, bo wszak one stale wzmacniają sieć kooperacji ponad granicznymi barierami. Podobnie rzecz się ma też z regionami. Dziś więc w zasadny sposób możemy pytać czy i jak jest realizowana idea „małych ojczyzn" w naszej części Europy? Moda na nie jakby minęła, a nawet sama idea stała się jakby podejrzana. Tymczasem pytanie o „małe ojczyzny" jest pytaniem o demokrację lokalną i regionalną, bez nich zaś nie może właściwie funkcjonować społeczeństwo obywatelskie i system demokratyczny na poziomie państwowym.

W sensie ustrojowym jest to pytanie o relację między kolejnymi szczeblami administracji publicznej i o zakres samorządności. W pierwszym okresie po upadku komunizmu, na fali zachwytu liberalną koncepcją wolności oraz wywiedzioną z nauki społecznej Kościoła zasadą subsydiarności, odtworzono niemal we wszystkich krajach naszej części Europy samorząd na szczeblu lokalnym. Jednak w żadnym nie przeprowadzono konsekwentnej decentralizacji i regionalizacji zgodnie z trendami panującymi w UE. Co więcej, reakcja centralistyczna była zwykle natychmiastowa. Dla centralisty zasada subsydiarności jest osobistą obrazą. Wszak on zawsze wie lepiej co jest najlepsze dla lokalnej społeczności, a już z całą pewnością tylko on wie, jak strzec interesu państwa. Raz jeszcze okazało się, że zmiany prawne i instytucjonalne są najłatwiejsze. Znacznie gorzej i trudniej jest zmienić struktury mentalne, współkształtujące kulturę polityczną.

Jeszcze nie tak dawno wydawało się, że jesteśmy w stanie w Europie zbudować model niekonfliktowej, stopniowalnej i subsydiarnej władzy (i partycypacji w niej): od poziomu lokalnych, miejskich i regionalnych wspólnot samorządowych, przez poziom państwowy aż po wspólnotowe struktury europejskie. Dziś okazuje się, że zarówno zwrot ku lokalizmowi i regionalizmowi, jak i proces europejskiego uwspólnotowienia polityk publicznych zderza się z silną reakcją ze strony państw. W Europie, jak długa i szeroka (ale gwoli sprawiedliwości podkreślmy, że nie tylko tu) jako słowo-klucz wróciło hasło suwerenności. Rzecz dotyczy zarówno zakresu kompetencji władzy państwowej (w naszych realiach utożsamianej z władzą centralną), jak i tego, jaki ma być model relacji „demokracji suwerennej" z innymi, ważnymi aktorami: rynkiem, społeczeństwem obywatelskim, mediami etc.

Pytaniem kluczowym, na które dziś nie ma dobrej odpowiedzi, jest to czy ten aktualny zwrot ku suwerenności jest tendencją stałą i na tyle silną, że

doprowadzi on do rozluźnienia (albo wręcz unicestwienia) europejskich ram instytucjonalnych? Czy może jest to „ostatnie tchnienie" państw narodowych, po którym procesy integracyjne nabiorą nowej dynamiki (szczególnie pod wpływem rosnącego ciśnienia procesów globalnych i nasilającego się ryzyka marginalizacji Europy w skali światowej)?

Dotykamy tu bardzo istotnej kwestii związanej z przyszłym (pożądanym) modelem Europy. Czy będzie to Europa „skonfliktowanych plemion"? Czy raczej Europa „stu kwiatów"? A być może wcale nie mamy do czynienia z ryzykiem „uwiądu" państw narodowych, czy też groźbą ich autorytarnej rewitalizacji, lecz raczej z trudnym procesem poszukiwania dlań nowej formuły?[6] Formuły, która nie tylko będzie określała zakresy kompetencji państwo (w sferze politycznej, ekonomicznej, militarnej etc.), ale także (a może szczególnie) będzie wymagała nowego określenia ról, zadań i możliwości konstruowania społecznych tożsamości? Jak pisała kilkanaście lat temu Anna Wolff-Powęska: „Wiele wskazuje na to, iż w XXI w. państwo narodowe straci monopol na określanie tożsamości. W XIX i XX wieku państwo i naród wzajemnie się potrzebowały. Dzisiaj państwo staje się w Europie coraz bardziej organizacją administracyjną, w której ramy coraz trudniej wpisać ludzką tożsamość. Identyfikacja i formy przynależności człowieka i grup społecznych stały się w niespotykanym dotąd stopniu kwestią wolnego wyboru i własnej inicjatywy. Etniczna tożsamość była zawsze atrakcyjna, gdyż łatwo było się do niej odwoływać od wewnątrz, od zewnątrz trudno ją było natomiast zakwestionować. Na płaszczyźnie narodowej najłatwiej też skrzyknąć niezadowolonych, wyrażać tęsknoty za wielkością i dumą. Dopiero nowe doświadczenia w Europie pokazały, że żaden naród nie ponosi odpowiedzialności tylko za siebie. Aby uwolnić się od niechlubnej tradycji (narody powstawały m.in. dlatego, aby odgraniczyć się od wroga, nie zaś by integrować własną wspólnotę) oraz przezwyciężyć pozostałości komunistycznych praktyk (militaryzacja i totalizacja tożsamości, zdegradowanej głównie do lojalności), trzeba stworzyć warunki, w których identyfikacja z narodem stanie się jedną z wielu wzajemnie wzbogacających się tożsamości"[7].

Nie ma co ukrywać – dla wielu w Europie (a w tym i w Polsce) ten proces tworzenia nowych warunków dla krystalizacji i społecznej manifestacji różno-

---

[6] R. Brubaker, *Nacjonalizm inaczej. Struktura narodowa i kwestie narodowe w nowej Europie,* Warszawa–Kraków 1998, s. 3.

[7] A. Wolff-Powęska, *Europa – państwo narodowe – region. Możliwości i granice identyfikacji u progu XXI wieku,* [w:] *Oblicza europejskiej tożsamości*, red. R. Suchocka, Poznań 2001, s. 88.

rodnych tożsamości, często konkurencyjnych wobec tożsamości narodowych, albo też te tożsamości narodowe niuansujących, jest trudny do zaakceptowania. Wydaje się on być jednak w tym sensie nieuchronny, że mamy do czynienia ze wzmożonymi ruchami migracyjnymi (i tymi z zewnątrz Europy, i tymi wewnątrz niej), z rosnącą falą małżeństw mieszanych, coraz silniejszymi procesami dyfuzji kulturowej, z intensyfikacją kontaktów międzykulturowych (ogromna w tym rola mediów oraz internetu) itd. Jest w tym zresztą zawarty kolejny, wielki paradoks Europy – oto w czasie, gdy bardzo silnie podkreślana jest niedoskonałość, a wręcz porażka polityki wielokulturowości procesy społeczne prowadzą do wzrostu kulturowego (etnicznego, językowego, religijnego, mentalnego itd.) zróżnicowania. Są to zjawiska ze sobą ściśle powiązane, bo kulturowe różnicowanie światów społecznych rodzi chęć odgraniczenia się od innych/obcych. Z drugiej strony dynamika życia społecznego niejako skazuje nas na coraz częstsze kontakty z tym innym/obcym (przy czym sama ta kategoria w różnych miejscach odmiennie bywa definiowana).

Nie trzeba w tym miejscu dodawać, że coraz poważniejszym wyzwaniem dla tożsamości „starych" Europejczyków są rosnące grupy imigrantów, o obliczu kulturowym i świecie wartości bardzo odległym i różnym od europejskiego. Co szczególnie ważne – postawy antyimigracyjne spotykane są nie tylko wśród członków narodów państwowych, ale także wśród przedstawicieli mniejszości tudzież wśród… migrantów wcześniejszych. Tym sposobem widzimy w krajach „starej" Europy paradoksalne, ale w cale nie tak rzadkie zjawisko, że mniejszości dyskryminowane przez większość, same stają w roli grup dyskryminujących innych.

Nie oznacza to jednocześnie wcale, że na styku grup mniejszościowych, większościowych i imigranckich nie zachodzą procesy akulturacyjne. Wręcz przeciwnie – dziś, szczególnie dzięki mass mediom i sieci mamy do czynienia z niespotykanym przepływem wartości kulturowych. Tworzą się zupełnie nowe pogranicza kulturowe, coraz bardziej zdeterytorializowane. Mamy więc w Europie stare pogranicza, kształtujące się przez setki lat, mamy pogranicza nowe, będące efektem powojennych przesunięć granic (np. nasze Ziemie Odzyskane czy Obwód Kaliningradzki), mamy pogranicza najnowsze, będące efektem dramatycznych wydarzeń lat 90. (aż nadto przykładów na to znajdujemy na Bałkanach, gdzie w wielu miejscach mapa etniczna uległa zasadniczej transformacji w wyniku wysiedleń, ucieczek, czystek etnicznych). Mamy wreszcie swoiste pogranicza w mieszanych dzielnicach wielkomiejskich.

Ta ogromna dynamika społeczna każe ponownie stawiać pytania o istotę wartości europejskich. Toczy się wokół nich dyskurs z udziałem nie tylko

polityków, ideologów, duchownych i dziennikarzy, ale też badaczy i uczonych[8]. Rzecz dotyczy nie tylko tego, co je konstytuuje, ale też które z nich są wiodące, najistotniejsze. W tym kontekście bardzo często dochodzi do kontrowersji wokół chrześcijańskich korzeni Europy. Każdego, kto zna historię naszego kontynentu i traktuje ją serio, musi napawać zdumieniem podważanie znaczenia i obecności chrześcijaństwa w Europie. Ale jednocześnie pamiętać musimy, że – po pierwsze – ta tradycja i dziedzictwo jest niezwykle złożone i nie zawsze chwalebne. A po drugie, że tradycja chrześcijańska jest różna – dzieli się na zachodnią i wschodnią, o którą upominał się Jan Paweł II, przy czym i one bynajmniej nie są jednorodne. Bo przecież chrześcijaństwo wschodnie inaczej prezentuje się w Rosji, inaczej na Bałkanach czy też w Grecji, nie mówiąc już o Armenii i Gruzji, które wszak do Europy zaliczamy. Podobnie jest zresztą w zachodnim chrześcijaństwie, już choćby z racji reformacji i jej niezwykłej różnorodności.

Ilekroć jednak zdumiewa mnie zaprzeczanie tym chrześcijańskim źródłom, tylekroć jeszcze bardziej zastanawia ograniczanie dziedzictwa europejskiego wyłącznie do nich. Można zapytać: a cała tradycja pogańska, i to nie tylko ta starożytna, lecz i także ta przedchrześcijańska? Co zrozumiemy z naszej obrzędowości dorocznej (nie tylko w Polsce), jeśli nie będziemy sięgali do tych prastarych źródeł? A co z dziedzictwem żydowskim i tym aszkenazyjskim, i tym sefardyjskim. Wszak jidysz i ladino to języki europejskie i jakież bogactwo kulturowe się za nimi kryje?

No i co z islamem? Przecież od VIII w. islam jest stale obecny w Europie, no chyba że będziemy chcieli z Europy wykluczyć Andaluzję, Sycylię, Bośnię, Krym czy też Wielkie Księstwo Litewskie. Bo czyż miastami europejskimi nie są Kordoba i Granada? Palermo i Eupatoria? Sarajewo czy choćby nasze Bohoniki? Tymczasem zachowujemy tak, jakby się islam dopiero co pojawił i stanął w gwałtownej opozycji wobec Europy. Oczywiście, pamiętamy o setkach lat wojen z islamem. Co więcej – możemy nawet zasadnie twierdzić, że to właśnie przez trwającą tak długo rywalizację z islamem Europa stała się Europą, uświadamiającą sobie własną odrębność i jedność. Tyle tylko, że sąsiedztwo z islamem nie zawsze miało charakter konfrontacyjny. A na europejską tożsamość oddziaływały także inne „opozycyjne" kręgi cywilizacyjne i potęgi militarne.

---

[8] Jako przykład można podać książkę*Kulturowe wartości Europy, red.* H. Joas, K. Wiegandt, Warszawa 2012.

Z drugiej strony można we współczesnym dyskursie publicznym bardzo często spotkać się z opinią, że historia się nie liczy, a jeśli już to co najwyżej jako ciekawostka czy też atrakcja turystyczna. Bo najważniejsza jest sytuacja obecna, a ta naznaczona jest jeśli nie otwartą wrogością, to lękiem, obawą i rosnącym dystansem.

W kontekście doświadczeń minionych lat jest to od strony psychologicznej zrozumiałe. Ale nie zdejmuje to z nas obowiązku myślenia o jakości demokracji w Europie. A sprawdzianem jej jakości jest stosunek do Innego. Ksiądz profesor Janusz Stanisław Pasierb mawiał: *„cieszę się, że jesteś… INNY”*. Co wcale nie musi oznaczać, że lekceważę problemy z tą innością związane. Jednakże w realiach europejskich nader często jest tak, że ci, którzy kogoś uważają za Innego (a wiec obcego i wroga) sami w tej roli stają względem jeszcze innych zbiorowości. Europa jest kontynentem różnicujących się tożsamości. Tak było zawsze. Jest w tym zawarte przekleństwo, ale i uroda naszego kontynentu. Trudno tu mówić o jednym wzorcu tożsamości europejskiej (na szczęście). Raczej mamy do czynienia z konglomeratem tożsamości europejskich, zróżnicowanych nie tylko w wymiarze społecznym, lecz także indywidualnym. Dla mnie, jako Kaszuby taka „mnoga tożsamość”, tożsamość złożona jest oczywista. Ale takich osób jest w Europie bardzo dużo i bynajmniej nie dotyczy to wyłącznie migrantów. Jest bowiem bardzo wielu ludzi w Europie, którzy łączą w sobie różnorodne tradycje, wątki kulturowe, tożsamości i identyfikacje. Każdy kto chciałby Europę „ułożyć” w sposób „rozłączny”, tworząc obszary uzgodnionych i monolitycznych, a przez to rozdzielnych tożsamości, musi się liczyć z tym, że znaczną część mieszkańców naszego kontynentu „wyrzuci” poza grace wspólnoty. To się nigdy dobrze nie kończyło. Dotyczy to zresztą nie tylko Europy, ale także Polski.

Warto w tym miejscu przywołać fragment z zapisków ks. Pasierba z 1991 r.: „Kiedy myślimy o Gdańsku, nie możemy przywołać jego dewizy: *nec temere nec timide*. Zawiera się w niej na pewno nie tylko kupiecka roztropność, ale idea złotego środka, umiaru, równowagi ducha, co w takim ożywionym punkcie globu jak ten miało się okazać wskazówką nad wyraz cenną. […] Ta nasza mała ojczyzna nigdy nie była samotną wyspą, lecz częścią głównego lądu, Polski, Europy. Nie miała granic naturalnych w postaci nieprzebytych gór, jedyną granicą naturalną było morze, ale ono właśnie było oknem i drogą. Ziemia spotkań. Wielkich zasiedzeń, ale i wielkich spotkań. Przez wieki żyli tu ze sobą i obok siebie – jak to znakomicie opisał Günter Grass – Polacy, Kaszubi, Niemcy, żeby już nie liczyć innych nacji, różnych nowych czy starych Szkotów. Poplątani, skuzynowani, wrodzy i przyjaźni. Prawdziwa mozaika języków i narodowości,

której zaczęła od czasów epoki nowożytnej odpowiadać także mozaika wiar. Wszystko jakoś żyło tutaj razem – *nec temere, nec timide*. […] W Gdańsku dokonał się wielki cud po r. 1945. Zabite miasto zmartwychwstało i zrodziło nowy typ człowieka. Dokonała się integracja ludzi: Kaszubi, Wilniuki i przybysze z innych stron poczuli się gdańszczanami"[9].

Cała Europa jest miejscem *zasiedzeń* i *spotkań*. Co z nich będzie wynikało zależy tylko od nas samych.

• **prof. dr hab. Cezary Obracht-Prondzyński** – Uniwersytet Gdański, Instytut Filozofii, Socjologii i Dziennikarstwa, Zakład Antropologii Społecznej. Socjolog, antropolog, historyk. Mieszka w Rzepnicy k. Bytowa. W latach 2005–2012 był dyrektorem Instytutu Filozofii, Socjologii i Dziennikarstwa UG. Zainteresowania badawcze dotyczą głównie problematyki mniejszości narodowych i etnicznych, kulturowych problemów współczesności, kultury Kaszub i Pomorza, polityki regionalnej, współczesnego społeczeństwa polskiego. Jest autorem lub współautorem 30 książek, redaktorem lub współredaktorem ponad 20, autorem kilkuset artykułów naukowych, popularnonaukowych i publicystycznych. W latach 1995–2000 był redaktorem naczelnym miesięcznika „Pomerania". Jest współzałożycielem, a obecnie prezesem Instytutu Kaszubskiego oraz członkiem kliku innych towarzystw naukowych: Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Naukowego w Toruniu, Polskiego Towarzystwa Socjologicznego (członek Zarządu Głównego, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego XVI Ogólnopolskiego Zjazdu Socjologicznego, wrzesień 2016 r.). Ponadto jest animatorem kultury oraz członkiem kilku organizacji społecznych, w tym przede wszystkim Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Pełni społecznie funkcje w radach muzealnych (Bytów, Słupsk), w Radzie Programowej Nadbałtyckiego Centrum Kultury w Gdańsku, Radzie Fundacji „Kaszubski Uniwersytet Ludowy" (przewodniczący), Radzie Programowej Fundacji „Wspólnota Gdańska" oraz Radzie Fundacji „Ośrodek Badań i Analiz Społecznych" w Gdańsku (przewodniczący). Jest też członkiem m.in. Pomorskiego Forum Terytorialnego, Rady Programowej Obszaru Metropolitarnego Gdańsk–Gdynia–Sopot i ekspertem Komisji Wspólnej Rządu oraz Mniejszości Narodowych i Etnicznych.

Kontakt: ul. Bażyńskiego 4, Gdańsk 80–952 lub cezaryop@gmail.com.

[9] J.S. Pasierb, *Obrót rzeczy. Rok 1991,* Pelplin 2002, s. 142–143.